

NEOLIBERALIZM NA ŚMIETNIK, PRAGMATYZM NA ŚWIECZNIK

Z prof. Grzegorzem W. Kołodko rozmawia red. Agnieszka Wołk-Laniewska

- Czy w Stanach wybuchł bunt przeciwko kapitalizmowi – jak mówią buntownicy – czy też „protest z powodu narastającej biedy i bezrobocia”, jak chcą polskie media?

- Niektóre media, które dzięki wieloletniemu lansowaniu neoliberalizmu też mają swój udział w obecnym kryzysie, teraz próbują przedstawiać protestujących przeciwko neoliberalnemu kapitalizmowi jako naiwną młodzież, która nie wie, czego chce. Jeśli nawet wielu na razie jeszcze nie wie, to się szybko dowiedzą...

Już kiedyś – w 1968 roku – studentów zapędzano do nauki, w 1976 demonstrujących robotników wyzywano od warchołów, a w 1999 roku dziennikarka tiwi obudziła mnie gdzieś w Azji, abym skomentował "anarchistyczne wybryki" podczas szczytu WTO w Seattle, czyli protesty przeciwko globalizacji na modłę neoliberalną. Tamten poważny sygnał został zlekceważony, więc teraz mamy poważny bunt przeciwko neoliberalizmowi, wskutek którego narastają nierówności, bezrobocie, bieda. Globalizacja i współczesny kapitalizm dały się w dużym stopniu zdominować współczesnemu leseferyzmowi. Czynienie z Państwa wroga publicznego numer 1, aby poprzez jego osłabienie i deregulację rynków finansowych umożliwić przechwytywanie nielicznym części dochodów większości, to nie jest dobry sposób na funkcjonowanie świata.

- I ci nieliczni dzięki temu zwani są elitami.

- Masy to na pewno nie są. Dla obecnego kryzysu szczególny jest przypadek USA, gdzie wskutek neoliberalnej polityki od dwu pokoleń dochody realne zdecydowanej większości społeczeństwa w ogóle nie wzrosły, podczas gdy dochody właścicieli i menedżerów korporacji wzrosły wielo-, niekiedy kilkudziesięciokrotnie. Stało się tak, ponieważ efekty postępu technicznego i organizacyjnego, owocującego wzrostem wydajności pracy, były przechwytywane przez kilkunastoprocentową, i tak już bogatą, warstwę społeczeństwa, związaną w dużym stopniu z sektorem finansowym. Te tzw. elity. Patologia gospodarki neoliberalnej polega na tym, że to rynki rządzą polityką, podporządkowując sobie wiele jej decyzji – zwłaszcza w sferze podatkowej i regulacyjnej – w celu maksymalizacji dochodów tychże „elit”. Odbywa się to głównie przez wprowadzanie na rynek finansowy kolejnych „innowacji”, czyli derywat.

- Derywaty są jak pornografia?

- Trochę to Pani uprościła, choć niejednego nadmiernie podniecają. Problem w tym, że w odniesieniu do niektórych instrumentów pochodnych podniecanie się nimi dzieje się ze szkodą dla innych. Wolność gospodarcza nie sprowadza się do totalnej swobody. Wtedy mamy anarchię i chaos, a nie wolność i ład. Jeśli słyszymy, że wszelkie regulacje są ograniczeniem wolności i zamachem na prywatny sektor, to co z handlem materiałami rozszczepialnymi? Żywym towarem? Kokainą? Czy – jak Pani chce – pornografią? Nawet anarchokapitaliści nie twierdzą, że handel heroiną i bombami atomowymi powinien być tam samo wolny jak handel meblami i warzywami. Występują bowiem negatywne efekty zewnętrzne obracania pewnymi dobrami i usługami. Podobnie jest z „produktami”, którymi handluje się na rynku finansowym; teraz już, wskutek globalizacji, ogólnosiwiatowym. Istnieją pewne derywaty wprowadzone do obiegu podczas ostatniego ćwierćwiecza, które zawierają olbrzymi ładunek ryzyka. Jeśli taka „bomba” wybuchą, to pole rażenia jest wielkie, a fale uderzeniowe rozchodzą się dalej i dłużej niż tsunami. I nie jest czyjąś prywatną sprawą, że z braku rozsądku i poczucia współodpowiedzialności chce to ryzyko ponieść, ponieważ naraża

na straty również innych. Bank bankrutujący z powodu nadmiaru tzw. zatrutych aktywów w portfelu, ogranicza akcję kredytową, co może skutkować wzrostem bezrobocia Bogu winnych ludzi; może nawet limitować wypłaty depozytów w nim ulokowanych. Od tego właśnie jest regulacja – i jej podmiot, czyli Państwo – aby takie ryzyko ograniczać, a ekscesy eliminować.

- A gdzie wyznaczyć granicę dopuszczalnego ryzyka?

- Granica jest płynna. To bardziej obszar niż kreska, ale można ją zakreślić. To bardziej skomplikowane niż rozstrzygnięcia, gdzie się zaczyna ostra pornografia, a gdzie są to jeszcze niewinne „świerszczyki”, czy też które narkotyki są niegroźne, a które szkodzą nie tylko jednostce, ale i społeczeństwu. Na szczęście zdarza się, że w obliczu dylematu „być albo nie być”, ludzkość potrafi trudne problemy rozwiązywać. Najlepszym przykładem jest kwestia broni nuklearnej; nie użyto jej od 66 lat, choć istniejący arsenał pozwala na zabicie 300 milionów ludzi jednego dnia. Warren Buffet – ten sam, który ostatnio powiedział, że skandalem jest, że płaci mniejsze podatki niż jego pracownicy – na początku stulecia określił derywaty jako broń nuklearną na rynkach finansowych. Ma rację i teraz, miał ją i wtedy.

- Precyzyjnie mówiąc, nazwał je „finansową bronią masowego rażenia”.

- I to się właśnie stało. Osiem milionów Amerykanów ma domy i mieszkania zadłużone powyżej ich bieżącej wartości rynkowej. W Polsce jest to już ponoć ćwierć miliona gospodarstw domowych: uczciwie pracujących ludzi, którzy wzięli kredyty w dobrej wierze, tyle że nie w tym pieniądzu, nie w tym momencie, nie na tej zasadzie, na której powinni. Bo im wmówiono, że to jest w ich interesie, w sytuacji, kiedy to było w interesie tych, którzy te kredyty dawali, niekiedy wręcz wciskali. Swój udział w tym procederze miały media, które – podobnie jak wielu „ekonomistów”, ekspertów, doradców, fachowców, analityków bankowych – zachęcały do nieracjonalnych zachowań, ale dla banków i rzeczników ich interesów jak najbardziej opłacalnych.

- Negatywnej roli mediów nie sposób przecenić, ale w Ameryce ten problem sięga głębiej: ludziom przez dziesięciolecia nie przychodziło do głowy, żeby kwestionować kształt kapitalizmu, bo wyrosli w systemie wartości, który mówi, że maksymalizacja zysku jest zgodna z planem bożym.

- Gospodarka rynkowa nie ma alternatywy, ale jej neoliberalna dewiacja ma. I właśnie obecny bunt pokazuje, że ludzie sobie to uświadamiają. W amerykańskich szkołach biznesu studentom zbyt długo wpajano filozofię opartą na maksymie: „Greed is good” – chciwość jest dobra. Otóż nie. Chciwość – przynajmniej w moim systemie wartości – jest cechą negatywną. Gospodarka rynkowa musi się opierać na dominacji własności prywatnej i motywie zysku jako sile napędowej, ale nie na chciwości, która jakże często zachęca do nierzetelności czy wręcz nieuczciwości.

Są przy tym kraje, w których prywatna przedsiębiorczość rozkwita bez szkody dla spójności społecznej. Taką drogą poszły socjaldemokracje skandynawskie, opierając się na systemie społecznej gospodarki rynkowej. Taką drogą, w zgoła innej sytuacji kulturowej, przy dużo niższym poziomie rozwoju, poszedł w minionej dekadzie Ignacio Lula da Silva, prezydent Brazylii. Nie będąc żadnym komunistą, socjalistą czy centralnym planistą, tylko pragmatycznym, demokratycznie wybranym prezydentem wielkiego, już prawie dwustumilionowego narodu, udowodnił, że w warunkach ostrej rywalizacji właściwej epoce globalizacji, można dać twórczy odpór tzw. konsensusowi waszyngtońskiemu wyrosłemu na neoliberalnej pożywce. Daje się pogodzić przyspieszenie wzrostu gospodarczego ze zmniejszeniem nierówności dochodowych.

Kryzys, z którym mamy obecnie do czynienia, nie mógł wyjść ze społecznych gospodarek rynkowych. Mógł – i musiał, o czym wielokrotnie pisałem – wyjść z kapitalizmu neoliberalnego, takiego jak anglosaski od czasów „reaganomiki” i „thatcherizmu”. To jest kryzys „made in USA”. Między innymi dlatego, że w Stanach Zjednoczonych pojęcie „spójności społecznej” nie istnieje – ani w ekonomii, ani w naukach społecznych, a tym

bardziej w realnej polityce. Neoliberalizm doprowadził do wielkiego strukturalnego kryzysu, którego nie można przeczłonyć, nie wyrzucając neoliberalizmu na śmietnik historii, gdzie jest jego miejsce.

- **Nie będzie się bronił?**

- Broni się i to zawzięcie! Widać to gołym okiem. Wystarczy popatrzeć, jak są blokowane pewne słuszne rozwiązania systemowe proponowane przez Komisję Europejską czy prezydenta Obamę, które zmierzają w kierunku poddania rynku finansowego większej kontroli publicznej i okiełznanie szkodliwej aktywności spekulantów.

- **A podatek Tobina? Media, przynajmniej polskie, konsekwentnie powtarzają, że buntownicy nie mają żadnych propozycji pozytywnych. To nieprawda. Przecież są takie rozwiązania – jak właśnie podatek Tobina – o którym światowa lewica alterglobalistyczna mówi od lat.**

- Starania o wprowadzenie w Unii Europejskiej podatku Tobina zapowiedział pod koniec września Manuel Barroso. I muszę Pani wyznać, że któregoś ranka, biegnąc przez pola, pomyślałem sobie, że wprowadzenie tego podatku będzie dla UE takim probierzem, jakim dla realnego socjalizmu była likwidacja asygnat na samochody.

- **Przyznam, że nie łąpię analogii.**

- Wtedy, w latach 80., powiedziałem na zebraniu jakiegoś ważnego gremium doradczego: albo natychmiast zlikwiduje się tę paranoję i przynajmniej samochody będą po cenach równowagi, dostępne dla tych, którzy mają pieniądze, albo nie ma co poważnie traktować deklarowanych zamiarów reformatorskich. I wtedy usłyszałem: no tak panie profesorze, ale to chodzi o lekarzy i weterynarzy na wsi, oni muszą dojeżdżać do pacjentów... A chodziło przecież o to, aby władza miała instrument do korumpowania ludzi na stanowiskach.

Tamten system musiał upaść, bo nie potrafił wyeliminować systemowej nierównowagi przejawiającej się w strukturalnych niedoborach, gdyż w głupi sposób broniono grupowych przywilejów. Ten system trzeszczy w szwach, bo nie jest w stanie wyeliminować strukturalnej nierównowagi finansowej, która przecież też bierze się z troski o partykularnej interesy elit.

Podobnie jak ze zniesieniem asygnat jest z podatkiem Tobina; to probierz prawdziwych intencji i determinacji polityków. Jeśli nie potrafią przeprowadzić takiego drobiazgu, to niewiele potrafią. Bo to w końcu drobiazg, acz pożyteczny. To nie jest rozwiązanie, które może „obalić kapitalizm” (tak jak zniesienie asygnat nie obaliłoby socjalizmu, a dałoby mu jeszcze parę lat pożyć). Nie jest to rozwiązanie mordercze dla rynków finansowych, ale na pewno spowolniłby gorączkę spekulacyjną, co nie zaszkodziłoby produkcji, a wręcz by jej pomogło.

- **Przeciwnicy podatku Tobina – przynajmniej ci chcący uchodzić za rozsądnych – posługują się głównie argumentem globalnym: żeby podatek był skuteczny, to musi być wprowadzony na całym świecie, a to przecież niemożliwe...**

- Owszem, to powinno być rozwiązanie globalne. I owszem, to jest możliwe, choć mało prawdopodobne. Sądzę, że Barroso może w tej sprawie znaleźć sojusznika w obecnym prezydencie USA, ale wątpię czy także w sekretarzu skarbu. I na pewno nie w następnym prezydencie, jeśli będzie to republikanin. A jeśli nawet G20 podejmie taką decyzję, to i tak znajdą się jakieś stare-nowe raje podatkowe, które umożliwią omijanie tej regulacji. Ale bynajmniej nie wszędzie, nie wszystkim, nie zawsze. Zatem wprowadzenie podatku obrotowego od transakcji finansowych nawet w części świata – takiej jak Unia Europejska, która, choć zamieszkiwana tylko przez pół miliarda ludzi, wytwarza aż 20 proc. światowej produkcji – byłoby krokiem we właściwym kierunku.

- **W odpowiedzi słyszymy, że kapitał przeniesie się gdzie indziej...**

- Jakże często słyszymy różne brednie, choćby taką, że podwyższenie podatków spowoduje ucieczkę podatników z kraju. Ale jakoś Polacy nie wyjechali na Papuę-Nową Gwineę, gdzie podatków dochodowych nie ma, a Amerykanie nie emigrują masowo do Polski, choć u nas podatki są niższe. Twierdzenia, że operacje z giełd obłożonych umiarkowanym podatkiem transakcyjnym przeniosą się w miejsca, gdzie podatku nie ma, to olbrzymia przesada. Rzeczywiście, niektóre transakcje zostaną wyprowadzone poza obszar euro, na przykład do Zurychu czy Nowego Jorku, do Osaki czy Hong Kongu, albo bliżej, do Londynu. Brytyjczycy bowiem nie wprowadzą tego rozwiązania, jeśli nie będzie globalne, acz i wtedy będą do końca mu się przeciwstawiali, zwłaszcza pod rządami konserwatystów. Niektóre fundusze hedgingowe mogą ograniczyć swoją działalność; i trzy krzyże im na drogę. Nam z tego powodu ani nie ubędzie bezpośredniego kapitału, który współfinansuje rozwój, ani nie będzie większego bezrobocia czy mniejszych dochodów budżetowych. Owszem, być może niektórzy spośród tych, którzy pracują dla tych funduszy, stracą pracę, ale z czasem – jeśli są prawdziwymi fachowcami – znajdą ją gdzie indziej.

- A poza podatkiem Tobina widzi Pan jakieś konkretne systemowe rozwiązania, które mogą być skuteczne w walce z neoliberalizmem?

- Nie przesadzajmy z tym podatkiem. Przecież to w sumie incydent, a to jest kryzys SYSTEMOWY, kosztowna klęska neoliberalnego modelu i praktyki. Głębokie zmiany muszą dokonywać się w ramach trójkąta: wartości, instytucje, polityka. To jest czas zamętu i trzeba zdefiniować po nowemu sens i cel aktywności gospodarczej, wprowadzić inne regulacje rynkowe, zmienić priorytety, kierunki i instrumenty polityki. Sam rynek nie wystarczy. Potrzebna jest Państwo. Gra idzie o sensowne ułożenia współgrających ze sobą rynku i Państwa.

- Jakiś przykład, konkret?

- Wejdźmy znów na nasze polskie podwórko. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumenta to powinna być niezależna, potężna instytucja regulacyjna chroniąca interesy nabywców i konsumentów. Współczesny kapitalizm, pod wpływem potężnej siły doktryny i praktyki neoliberalnej, doprowadził do sytuacji, w której wyzyskiwany, naciągany, manipulowany, oszukiwany, wprowadzany w błąd nie jest proletariatus, którego próbował z wiadomym skutkiem bronić Marks, Engels, Lenin. Wykorzystywani jesteśmy my wszyscy, w szeroko rozumianej roli konsumentów. Jako nabywcy, klienci, pacjenci, pasażerowie, abonenci, usługobiorcy, lokatorzy, kredytobiorcy... Nawet ci z nas, którzy mniej więcej orientują się w tym, co dzieje się wokół, jakże często są naciągani i w istocie bezbronni. Tydzień temu leciałem klasą biznes – zaginął bagaż. Wczoraj zapłaciłem 153 zł i 50 groszy za bilet intercity z Katowic do Warszawy – pociąg się spóźnił ponad godzinę, ku czemu nie było żadnego istotnego uzasadnienia. I nikt oprócz poszkodowanych nie ponosi z tego tytułu konsekwencji. Ktoś do Pani dzwoni, Pani nie odbiera, więc słyszy kretyński komunikat „po zakończeniu rozmowy naciśnij guzik lub odłóż słuchawkę”. Nawet dureń wie, jak się rozłączyć, ale niech zapłaci za te dodatkowe sekundy. Oferty bankowe formułowane są w ten sposób, że nie można ich porównać. Reklamy lekarstw są ogłupiające. I tak dalej. To się mnoży przez miliony. Dodatkowe koszty i straty jednych są dochodami i zyskami innych, jakże często nieuzasadnionymi.

Postępowa formacja społeczno-polityczna musi opowiadać się za polityką chroniącą człowieka i społeczeństwo w ich roli konsumentów. Przedsiębiorcom należy tworzyć dogodne systemowe warunki do ekspansji, ale nie na koszt, lecz na korzyść konsumentów. Na tym polegać musi Nowy Pragmatyzm, który proponuję w swoich książkach jako odmienną opcję tak wobec pravicowego neoliberalizmu, jak i populistycznego państwowego kapitalizmu.

- Jakoś sobie nie wyobrażam takiej instytucji.

- A ja tak. Proszę porównać pozycję UOKiK i Narodowego Banku Polskiego. Ten ostatni jest „świętą krową”, której nawet nie wolno krytykować za popełniane błędy, bo to jest „zamach na niezależność banku centralnego”. O tym pierwszym prawie w ogóle nie słychać. Większe wpływy mają niektórzy lobbyści partykularnych grup interesu niż instytucja troszcząca się o rzetelność i uczciwość na rynku. Tymczasem organizacja i regulacje chroniące interesy konsumentów powinna być potężna, budząca respekt oraz skłaniająca producentów, dostawców, dystrybutorów do zachowań racjonalnych i prospołecznych. To byłaby instytucja, która nie zagrażałaby funkcjonowaniu żadnego uczciwego kelnera czy fryzjerki, żadnego uczciwego prezesa banku czy menedżera fabryki. Ale byłaby bezwzględna wobec tych, którzy są nieuczciwi, niechlujni, nieodpowiedzialni. Stworzenie takiej instytucji to wyzwanie. W Polsce, w Unii Europejskiej, wszędzie.

- Wierzy Pan Profesor w przyszłość lewicy?

- Wierzę – bo wiem, że to możliwe i potrzebne – w przyszłość postępowej formacji społeczno-politycznej. Z czasem wyłoni się ona z tego czasu zamętu. Szkoda tylko, że takim kosztem.

Rozmawiała Agnieszka Wołk-Łaniewska